№ 26. 26. Czerwca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nieznany wiersz

Władysława Syrokomli.

Wielką sprawia nam radość, że możemy podać czytelnikom niniejszy wiersz Syrokomli, nieznany dotąd w druku — i przez to przypomnieć ogółowi poetę, którego imię wielkie zbyt słabo — trzeba wyznać — mamy w pamięci. Piękny ten wiersz pisany był u schyłku żywota poety (um. 1862), w dobie największej jego popularności wśród współczesnych. W życiu osobistem był to dla Syrokomli czas nędzy i cierpień fizycznych. W gasnącem ciele paliła się jednak dusza wzniosła, pełna poczucia niezależności, dusza zbiorowa małych i uciśnionych. Z grona poetów litewskiej szkoły Mickiewicza, on najżywiej odczuwał żywotne interesy mas, najtrafniej wyrażał ich uczucia.

Znaliśmy dotąd zaledwie parę utworów Syrokomli treści patrjotycznej. Ten, który dzisiaj ogłaszamy, dobitniej niż inne określa stosunek uczuciowy poety do sprawy narodowej. Jako wyraz najgorętszych uczuć narodowych utwór ten dodaje mu, jako człowiekowi, jeden więcej promień chwały; jako piękny płód poetycki — nową gałązkę do lauru, którym krytyka uwieńczyła jego skronie.

Dla objaśnienia liter początkowych I. Z., których użyć musimy dla ukrycia osoby, dodamy, że wiersz ten przeznaczony był przez poetę do albumu pewnego patrjoty sybiraka, znanego Syrokomli również z pięknej gry na gitarze.

DO ALBUMU I. Z.

Serca nasze, to gitara;
Rwij nam w struny, dziarsko graj,
A Twój temat: przeszłość stara
I rodzinny ojców kraj.

Zlej nam w nutę Polskę całą:
Poznań, Halicz, Litwę, Ruś —
I pierś ziomków zardzewiałą
Do rzewnego płaczu zmuś.

Znasz sybirski brzęk łańcucha;
Na gitarze zawtórz doń;
Niech uśpione jęki ducha
Wydobywa Twoja dłoń.

Znasz, sołdacie, pałek świsty,
Komandira szabli brzęk;
Zbierz-że w akord uroczysty
Wszystkich braci bitych jęk.

Potem wjeżdżaj w kraj rodzinny
Z nuty w nutę, z tropu w trop;
Jęcz w gitarze, lecz w ton inny,
Jak pod rózgą jęczy chłop.....

Jedź na zachód, gdzie weselej,
Do litewskich zabłądź stron,
Ostrobramską pieśnię przelej
Na gitary twojej ton.

Hej, Z..., jedź do Polski
I mazurskim piosnkom wtórz:
Dana, dana, prose pana,
A ojcyzny nima juz!“

Jedź w Karpaty, graj tam zcicha,
Pogrzebowe tony weź;
Graj, jak szpiegi Metternicha
Naszeptują w Polsce rzeź.

Potem zabłądź do Poznania
I wyśpiewaj kmiotka ból,
Kiedy niemiec go wygania
Z pradziadowskich chat i pól.

Po kolei, z duszą polską
Do Paryża ruszaj zdrów
I tam z dziatwą batignolską
Za ojczyznę pacierz zmów.

Zbierz to wszystko w ton ognisty,
Zbierz, co w duszy masz na dnie;
Od rodaka-gitarzysty
Takiej Polska pieśni chce!

Władysław Syrokomla.

W przed-wigilję Narodzenia Bożego, 1858. Wilno.

W sprawie młodzieży.

Nieszczęściem jest społeczeństw, znajdujących się w nienormalnych warunkach polityczno-społecznych, jak nasze, że jedyną (?Red.) w nich grupą ludzi, działających pod wpływem wyższych cywilizacyjnych ideałów, próbujących wcielać je w życie — jest młodzież.

Nie będę tu uzasadniał tego twierdzenia, zajęłoby mi to bowiem zbyt wiele miejsca. Ciekawych odsyłam do szeregu artykułów p. t. „Proteusze — z rozmyślań Diego Iguenaz'a" w nr. 2—5 „Głosu". Wprawdzie artykuły te traktują o inteligencji w krajach cywilizacyjnie nizko stojących, nadają się jednak bardzo do określenia stanowiska młodzieży w społeczeństwie polskiem. Zawierają one wiele ciekawych spostrzeżeń, które wartoby poddać dyskusyi w prasie wolniejszej, niż warszawska. Na razie jednak muszę się wstrzymać od wypełnienia tego wdzięcznego zadania, a przystąpić natomiast do właściwej treści niniejszego artykułu. Fakt na pozór drobny, jak pewien zastój w życiu młodzieży, podlegający poważnej dyskusji w prasie, już jest poniekąd potwierdzeniem postawionego powyżej założenia.

Chciałbym tutaj zastanowić się nad przyczynami, które wywołały smutny fakt zastoju i obniżenia ideałów wśród młodzieży polskiej w Galicji, fakt skonstatowany zgodnie w specjalnych artykułach, umieszczonych w końcu zeszłego i w tym roku w „Kurjerze". Z autorami tych artykułów nie zgadzam się jedynie co do przyczyn wspomnianego zjawiska; te, które je moim zdaniem wywołały, w ogólnych zarysach przedstawię.

Od kilku lat biorę czynny udział w życiu młodzieży w kraju i za granicą; okoliczności pozwoliły mi obserwować ruch młodzieży w Galicji w epoce, kiedy był on najżywszym; — szczęśliwy będę, jeżeli na schyłku lat moich akademickich uda mi się przyczynić do rozjaśnienia kwestji wielce żywotnej.

Zastrzedz się jeszcze muszę, że mówiąc o młodzieży, mam na myśli jedynie tych z pośród niej, którzy interesują się sprawami natury ogólniejszej; wszelkich karjerowiczów, salonowych dandysów *et tutti quanti*, którzy zresztą prawie żadnego udziału w ruchu młodzieży nie biorą — z góry wykluczam.

Autor artykułu „Młodzież a społeczeństwo" kładzie winę zobojętnienia młodzieży na społeczeństwo. Zarzut to niesłuszny dlatego, że nigdy i nigdzie większość społecznie czynna nie żywi ideałów tak daleko idących jak młodzież, która w społeczeństwach cywilizacyjnie niższych odgrywa rolę kapłanki najbardziej współcześnie postępowych idei. Nie widzimy też tej zgodności i w naszej historji: młodzież wbrew woli starszej generacji szła na Belweder i wychodziła do lasu w czasie wiekopomnej branki — dzieła rodaka.

Twierdzenie powyższe zbija pozornie fakt, przytoczony niedawno przez dra Łukaszewskiego. Podług niego społeczeństwo rumuńskie sympatyzuje z młodzieżą swego kraju i popiera jej dążenia. Dowodzi to tylko niezbyt postępowych aspiracji tej młodzieży, co potwierdza znany jej memorjał, stojący na gruncie lojalizmu i rojalizmu.

Więc nie w społeczeństwie, nie w profesorach, nie w prasie tkwi przyczyna złego, ponieważ przyczyny te istniały zawsze; tkwi ona raczej w składzie obecnej młodzieży i w warunkach jej życia.

Jeszcze trudniej zgodzić się z p. Szukiewiczem, autorem następnego artykułu w „Kurjerze", który twierdzi, że przyczyna złego tkwi w braku programu działalności młodzieży i stawia swój program — niemożliwy do przeprowadzenia.

Kreśląc swój obraz graficzny życia młodzieży, nie zwrócił on uwagi na to, że zastosować go można nie tylko do młodzieży, ale i do społeczeństw wogóle, naszego zaś w szczególności. Tylko życie społeczeństw cywilizacyjnie najwyższych daje nam graficznie linję postępu prostą, stale podnoszącą się ku górze; w innych ewolucja bynajmniej tak prawidłowo się nie odbywa. Czemże były rewolucje 30 i 48 r., jeżeli nie gwałtownym podnoszeniem się krzywej życia społecznego? — czem następujące po nich reakcje, jeżeli nie gwałtownem tejże opadaniem?

Młodzież jest społeczeństwem w społeczeństwie; przykład powyższy dostatecznie to potwierdza. Jeżeli bliżej przyjrzymy się temu mikroorganizmowi, to zobaczymy, że w samej rzeczy posiada on swoje konstytucje, swoje parlamenty, swoje rewolucje, swoje partje polityczno-społeczne, nawet swoje klasy — zupełnie jak społeczeństwa właściwe. Różnica polega tylko na tym, że w społeczeństwach młodzieży skład obywateli ulega corocznie zmianom i że wszelkie walki prowadzone są z większą dobrą wiarą i uczciwością osobistą, niż w drugich. Przyczyna tej wyższości młodzieży jasna: jest nią niezepsuty jeszcze życiem charakter i względna niezależność.

Z charakteru młodzieży, jako takiej, wynika jeszcze krewkość, właściwa młodemu wiekowi, bezwzględność i chęć bezpośredniego wcielania swoich ideałów w czyn — czynniki, których p. Szukiewicz zupełnie nie uwzględnia. Gdyby je był wziął pod uwagę, czyżby stawiał program cichego samokształcenia i skromnej pracy dla oświaty ludu w kierunku wyłącznie naukowym, pozbawionym kierunku politycznego?

Stojąc na gruncie wyżej zaznaczonym, śmiało powiedzieć można, że program ten niemożliwy jest do wykonania, a gdyby nawet był wykonalnym, to wielka kwestja, czy w praktyce okazałby się korzystnym.

Niepodobna wymagać od młodego człowieka, aby, uświadamiając się w pewnym kierunku, wyrabiając w sobie taki, albo inny program polityczno-społeczny, nie starał się natychmiast wprowadzać go w czyn. Niepodobna również żądać, aby młodzież, stykając się z ludem, mogła utrzymać się w granicach nauczania geografji, historji, fizyki i t. p. obojętnych przedmiotów, a nie dotykała sto-

sunków, które temu ludowi i jej samej najwięcej ciężą i które znieść jest jej najgorętszem pragnieniem. Niepodobna wreszcie postawić granicy, kiedy uważać samokształcenie polityczne za dostateczne do wstąpienia na drogę czynu (chyba nie z chwilą otrzymania dyplomu inżynjera lub lekarza — dyplomu, który z wykształceniem politycznem niema nic wspólnego), ani też nakreślić linii granicznej pomiędzy kwestjami obojętnymi, a narażającymi na konflikt z władzami.

Program postawiony przez p. Szukiewicza może być w zupełności, a jest częściowo urzeczywistniany przez ludzi, nienależących do młodzieży i nie tak jak ona niezależnych. Jej przypada w udziale rola inicjatorów we wszelkich postępowych ruchach politycznych i społecznych. Zapewne lepiejby było, gdyby inicjatywę taką brali na siebie ludzie poważniejsi, ale skoro jej nie brali, nie biorą i brać nie będą, więc musimy się liczyć z tem złem koniecznem, pisząc programy dla młodzieży, uwzględniać tę konieczność i pozostawić jej rolę, jaką w społeczeństwach upośledzonych zwykle odgrywa. Młodzież polska dorosła do tej roli i godnie ją zawsze wykonywać potrafiła, nie sięgając w czasy dawniejsze, z ostatnich kilku lat przykłady przytoczyć wystarczy. Ona to zainicjowała manifestację 3. Maja i żałobę narodową, ona ze swych szeregów dostarcza inteligencji młodym jeszcze u nas ruchom radykalnym, ona wreszcie codziennie stwierdza, że za ideały swoje cierpieć umie, jak na ludzi dojrzałych przystało.

Dlatego też brak życia i zapału wśród młodzieży wywołuje ożywioną dyskusję w prasie i poddaje młodzież ostrej krytyce, gdy nie spełnia tego, co lepsza część społeczeństwa za jej obowiązek uważa.

Kto miał sposobność obserwować życie młodzieży polskiej w Galicji w latach 89 i 90; kto widział wiec akademicki, powstanie „Ogniska“, zaburzenia studenckie w Krakowie — tego zdumiewać musi spokój obecny. Przy bliższem rozpatrzeniu stan ten okazuje się zupełnie naturalnym: po rewolucji nastąpiła reakcja, przyczyny której również łatwe są do wyjaśnienia.

Większość młodzieży stanowi w każdym czasie szara masa, pełna dobrych chęci, ale mało samodzielna. dająca się powodować ludziom wybitniejszym. Ponieważ jednak ta masa decyduje o wszelkich wystąpieniach młodzieży, ponieważ silna jest liczbą głosów, które oddać może za tym lub owym kandydatem, za takim, albo innym wnioskiem — więc starają się na nią oddziaływać kółka ludzi zdecydowanych, chociaż najrozmaitszych przekonań. Które z tych kółek wpływ osiągnie, które tą masą kierować potrafi — to w danej chwili nadaje charakter życiu młodzieży — charakter mniej lub więcej postępowy.

W latach 89 i 90 wpływ ten był w ręku młodzieży, której ideały polityczne i społeczne były najbardziej postępowe, co nam tłómaczy żywe tętno życia młodzieży w tym czasie.

(d. n.

Z ludowych opowieści.

W rzędzie nielicznych podań, które odźwierciedlają polityczne zapatrywania naszego ludu jednem z najbardziej charakterystycznych jest niżej przytoczone. Zapisanem już było przez Kolberga i dawniejszych zbieraczy; świeżo przypomniało o niem sympatyczne krakowskie pisemko: „Kościuszko“, poprzedzając takimi słowami wstępu:

Kiedy w Grodnie hulała zgraja rozpasanych zaprzedańców wraz ze swoim królem, i najohydniejsze orgje, które wstyd opisywać, wyprawiała, gotując się do równie ohydnego dzieła, jakiem był oczekiwany przez nich sejm grodzieński — tymczasem Moskale i Prusaki gospodarowali w kraju, jak we własnym domu. Z jednej strony wyszły już ukazy o przyjęciu przysięgi przez mieszkańców, objętych drugim zaborem, o ustanowieniu komór i wyciągnieniu straży wzdłuż linji granicznej od strony Prus i Austrji; z drugiej wydano befele o składanie homagium królowi pruskiemu, którego przodkowie niedawno uginali kolan przed majestatem polskim, głoszono verordnungsblaty o podatkach i rekrucie. Z tego dwojga złego nie było co wybierać, boć obcy żołnierz na polskiej ziemi nie mógł być miłym gościem — jednak jakoś łatwiej było dać sobie rady z Moskalem, znośniejszym on był już dla tego, że łatwiej było z nim dogadać się, a często i współczucie znaleść; ale Niemcy, szczególniej ludowi polskiemu, strasznie dawali się we znaki. Tych to czasów sięga smutna piosnka Mazurów:

Ej biedaż nam Mazury,
Jakiej nigdy nie było,
Niemcy nas drą ze skóry,
O czem nam się nie śniło.

Bo któżby się był spodziewał,
Ktoby się o to starał,
By się Bóg tak rozgniewał,
Żeby nas Niemcami skarał!

Prusacy zabrawszy kraj aż po Bzurę, fortyfikowali nadgraniczną Łęczycę i tysiące ludu spędzano codziennie do kopania szańców i sypania wałów; siły ustawały, sprzężaj się niszczył a lud gorzko utyskiwał, nie szczędząc przybyszom przekleństw. W tych czasach jakiś regirungsrat pruski znalazł niespodziewaną śmierć w łęczyckich bagnach, którą Prusacy przypisując nienawiści ludu, chcieli osądzić za morderstwo polityczne; ale czy to prosty rozum chłopski, czy zręczny wywód obrońcy nadały inny kierunek tej sprawie, ktorej akta dotąd podobno znajdują się w archiwum łęczyckiem.

Tygodnik illustrowany warszawski (r. 1862 w Nrze 135) podał na tych źródłach oparte opowiadanie, a powtórzył je Kolberg (Lud, ser. XXII, 1889). Treść tego opowiadania jest następująca:

Młody, zawsze trzeźwy i przytomny parobek Stach ze wsi kościelnej Topoli, o pół mili od Łęczycy ze słynnemi błotami i bagnami, wracał pó-

źnym wieczorem do domu, a znając dobrze bezpieczne przez błota przesmyki, nie obawiał się ugrząść — ale nagle spłoszone konie szarpnąwszy w bok wozem, wywróciły go w bagno i już grzęznąć poczęły, gdy w tej chwili dał się słyszeć z bliska dziwny jakiś głos: he-he-he-he! Zrozumiał Stach do razu, że to nie kto inny, jak sławny ów potępieniec z lochów zamku łęczyckiego, bies Boruta, który w całej okolicy wyrządzał dotkliwe psoty ludowi i szlachcie; przeżegnawszy się więc krzyżem świętym zapytał śmiało: tyś bies Boruta? a usłyszawszy wyraźne potwierdzenie: ja, ja! niewiele myśląc porwał za kłonicę od wozu i skoczywszy obcesem na biesa, tak go w sam łeb ugogził, aż czarny jakiś nietoperz wyskoczył mu ze łba a bies powalił się w bagno. Stach uradowany dziękował Bogu, że uwolnił okolicę od piekielnego psotnika, a odmawiając „pod Twoją Obronę“ odprzągł zaplątane konie, wyciągnąwszy wóz z błota, założył je i nie oglądając się na leżącego biesa ruszył śmiało ku domowi. Stanąwszy szczęśliwie na miejscu, pochwalił się Stach przed wszystkimi we wsi, że przy pomocy boskiej uśmiercił Borutę, tak, że tylko ogon indyczy z niego został i nogi; nie dowierzali mu ludzie jednak, iżby on mógł tak dogodzić biesowi, któremu ani szlachcic jakiś, sławny rębacz, nie dał rady i dwa tylko palce obciął mu szablą; nazajutrz więc z rana udali się ze Stachem na miejsce, a przekonawszy się naocznie o prawdzie, ujrzawszy resztki cielska djabelskiego, strój niemiecki, po którym zawsze biesa, poznawali, obydwa przez Stacha opisywane ogony, jeden na plecach jakby bawoli, drugi indyczy poniżej i połowę przetrąconego kłonicą nietoperza — powinszowali Stachowi takiego zwycięztwa nad biesem, który całą okolicę trwożył i turbował. Tymczasem Prusaki rozbiegli się na wszystkie strony, szukając swego regirungsrata, który wyszedłszy przed wieczorem dla poznania okolicy, a może i dla zapoznania się z ludem okolicznym albo w innym jakim celu, nie wrócił więcej, przepadł bez wieści; posłyszawszy więc o zabiciu Boruty tejże samej nocy, przytrzymali Stacha, który śmiało przyznał, że zabił biesa i zaprowadził ich na miejsce. — Ależ o zgrozo! w tym obrzydliwym dwuogoniastym potworze z resztką nietoperza na łbie Prusaki poznali swojego regirungsrata; wytoczyli więc śledztwo, obwiniając Stacha to o polityczną, to o kryminalną zbrodnię: dzięki atoli odwiecznej legendzie o Borucie i zręcznie na tej legendzie opartej obronie obwinionego, sąd uznał, że Stach działał bez złego zamiaru i skazał go tylko na kilkutygodniowy areszt. — Aby zaś na przyszłość nikt nie zasłaniał się niewiadomością. Prusacy ogłosili przez wójtów, burmistrzów i z ambon po kościołach cyrkularze, że osoby w stroju czarnym, niekrajowym, w aksamitnych z metalowemi świecącemi guzami kuftanach, również w aksamitnych do kolan pludrach, czarnych jedwabnych pończochach i pantoflach ze sprzączkami, nie są bynajmniej djabłami, borutami, biesami lub innego rodzaju złemi duchami, lecz urzędnikami; że ci ludzie nie mają na głowie nietoperzy, ale stosowane, trzyrożne, spłaszczone kapelusze; że wreszcie nie są oni dwuogonowymi, ale że to, co za ptasi ogon poczytywano, są to poły od kaftana, a to co się na plecach wałęsa, jest to narodowy niemiecki harcap; że więc dla takich ludzi zaleca się wszelki szacunek i poważanie.

Nie dowierzał jednak temu wszystkiemu lud i nie złagodziło to wrodzonej nienawiści jego do Niemców, wzrastającej w miarę ich zuchwałego rozwielmożniania się i zdzierstw; czekano tylko szczęśliwej chwili, aby się ich pozbyć, błagając Boga:

Boże pełen litości!
Do Cię prośby zanosim,
Pozbawże nas tych gości
I wysłuchaj nas, prosim!

I wysłuchał Bóg, bo nie minął rok, pomyślny wionął wiatr i echo pieśni kosynjerów krakowskich zaniósł do Wielkopolski (1794). Kiedy Prusacy ruszyli pod Warszawę, powstał Paznań, Kalisz, Gniezno, powstało Sieradzkie, ziemia Gostyńska, Wieluńska i Kujawy, a jedni z pierwszych powstali Łęczycanie, wtórując echu krakowskiej pieśni:

Chłopcy idźwa iwa
Naszej krzywdy się zemściwa,
Jeszcze i nam Bóg poszczęści,
Nie żałujmy na nich pięści.

Mamy ręce po pięć palców,
Bijwa dobrze tych zuchwalców,
Poprzedajwa woły z zbożem,
Spieszwa wszyscy za obozem.

Poprzedajwa i poduszki.
A przystańwa do Kościuszki!

Jakim sposobem rzeczywisty radca stanu został oćwiczony rózgami

czyli

wewnętrzna gospodarka Taszkienców*).

Z „Nowych bajek Szczedryna“ — przeł. tłumacz Kennana.

Ach! Jak ja się też wówczas spracowałem!

Taszkienty nie zostały jeszcze zdobyte; sprawa zachodnia także nie była ukończona; byliśmy wolni, lecz żądza zaborów nie wygasła.

Nie pozostawało więc nic innego, jak zwrócić się do wnętrza państwa.

Pamiętam, było to latem. Petersburg ginął, żywioły mięszały się z sobą; powódź następy-

*) Pod Taszkiencami autor rozumie wszystkich łotrów. szalbierzy, niegodziwców, oszustów, należących do wyższych warstw społeczeństwa, których władze wyższe nie zwykły pociągać do odpowiedzialności sądowej za popełnione zbrodnie, lecz w charakterze urzędników wojskowych lub cywilnych przenoszą do Taszkientów, dla pełnienia dalszej służby. (Przyp. tłóm.)

wała za powodzią, woda uniosła już Admiralicję, co chwila oczekiwano rychło popłynie forteca Piotro-Pawłowska. Publicyści wrzeszczeli i dowodzili, że sprawcami powodzi są nihiliści; opinja publiczna domagała się doraźnej a czynnej Nemezidy. Szybko sformowało się pod przewodnictwem spensjonowanych generałów kilka kompanji cywilnych dla wykorzenienia „zła,“ rozchwytano akcje tem chciwiej, że cena ich wynosiła kopiejkę zaledwie; społeczeństwo wzięło się gorąco do ratowania samego siebie, bez upoważnienia rządu, jak to miało już miejsce w 1611 r. Wypowiedziano wojnę nihilistom i nihilistkom, zawerbowano mnóstwo rycerzy. Do jednej z takich kompanji pod nazwą „Lękliwe próby lojalności“ zaciągnąłem się i ja.

Skoro ktokolwiek wydawał hasło, bywałem ja zawsze tuż przy nim, generał nie zdołał jeszcze otworzyć ust (nie wiem dla czego, lecz zdaje mi się koniecznie, że hasło może dać tylko sam generał) a ja natychmiast tuż przy nim stoję, jakbym wyrósł z pod ziemi i cały drzę przed Jego Wys. Mością. Z razu czuję się znużonym, potem nogi zaczynają się wyciągać, wyciągają się, wyciągają, biegnę, biegnę i zaledwie zdoła zawołać: „Dzieci, z nami Bóg!“ a ja tuż przy nim.

— Gdzie rozkaże Wasza Wys. Mość?

— A! ty znów tutaj!

— Tak jest Wasza Wys. Mość!

— Dziękuję, potrzeba mi ludzi.....

Tak było właśnie i wtedy. Nie pamiętam już po jakiej gubernji wałęsałem się; w kieszeni nie było ani grosza! I jeszcze, jeszcze pamiętam: miara bezprawi przepełniała się. Wziąść trojkę pocztową, przewiązać się pasem, pokrzepić kilkoma kieliszkami gorzałki, siąść na bryczkę, było dla mnie dziełem jednej chwili. Następnie pędziłem, pędziłem, pędziłem...... I rzeczywiście przyleciałem w sam czas, gdy generał wystąpił z porywającą swą mową.

Mowa ta wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, że po dziś dzień pamiętam ją co do słowa*) „Panowie! odezwał się generał: nie shańbimy się, raczej padniemy trupem! tak, łaskawi panowie, przemawiał błogosławionej pamięci wielki książę Świętosław Igorewicz, gotując się do zwyczajnej walki z Janem Cimiskim...“ Generał zatrzymał się, poczerwieniał i dodał: „Panowie, nie jestem mówcą, lecz jako rosjanin, mogę powiedzić: dzieci! nasza górą!...“ Wtenczas podniosłem się. Ku zdziwieniu mojemu sala przepełniona była ochotnikami różnego wzrostu, stanu i narodowości. Rozumie się, niejedno mnie rozdrażniło. Akcje kompanji w ciągu jednej minuty podniosły się z kopiejki do złamanego grosza. Współczujący, żądni pieniędzy pchali się, poszturkiwali wzajemnie, rzucali dokoła zawistnym wzrokiem, tak, że generał dla zapobieżenia nieszczęściu, zmuszony był powiedzieć: „Panowie, nie spieszcie się tak! dla wszystkich znajdą się miejsca! potrzeba mi ludzi!“ Zwracając się następnie do jednego z bliżej stojących mówił dalej: „Jakiż to jednak piękny objaw uczuć!“

Wpisali nas na listę i kazali nam udać się bezzwłocznie do urzędu dla rozsegregowania na oddziały *(par esquades)*. Pamiętam, w liczbie nowozaciężnych, zwrócił na siebie szczególniejszą moją uwagę pewien cudzoziemiec: przy niezwykłym swym wzroście, dochodzącym do trzech arszynów i odpowiedniej tuszy ciała, odznaczał się on surową stanowczością, tak, że najniewinniejsi nawet ludzie na sam jego widok zeznawali wszystko, o czem tylko wiedzieli.

Nasz generał nie mógł przez czas długi nacieszyć się nim, zauważywszy jednak, że oddawanie mu pierwszeństwa zaczyna wzbudzać w wielu z obecnych uczucie patrjotycznej zazdrości, pospieszył natychmiast wyprowadzić nas z błędu. „Panowie! — zawołał — nie myślcie, ażeby nam było potrzeba wyłącznie ludzi nadnaturalnego wzrostu! Nie, przy naszej działalności znajdzie się miejsce dla ludzi wszelkiego wzrostu, wszelkiej kompleksji. Jednym tylko i niezbędnym warunkiem — jest rosyjska dusza!“ Słowo „niezbędnym“ generał wymówił z szczególniejszym naciskiem.

— A niemiec może znajdować się w naszych szeregach? odezwał się jakiś głos z pośród tłumu...

Niebiański uśmiech rozjaśnił twarz generała.

— Niemiec może! niemiec zawsze może! dlatego, że niemiec ma zawsze rosyjską duszę... wypowiedział z zachwytem i zwracając się znów do najbliżej siebie stojącego cudzoziemca dodał: O gdyby wszyscy rosjani mieli tak rosyjskie dusze, jakie zwykle mają niemcy!

Generał zamyślił się chwilę i poruszał ustami... „Napoleon III. powiedział prawdę — odezwał się jakby rozmyślając nad czemś: Co to jest prawdziwy Francuz? spytał on sam siebie w najcięższej chwili swego życia, i odpowiedział: prawdziwym francuzem jest ten, kto spełnia rozkazy generała Pietri!*) I od chwili gdy tak sobie powiedział, wszystko poszło dobrze.

— Tak jest, Wasza Wys. Mość! ryknęliśmy jednym chórem.

Cudzoziemiec łypał oczyma i wyciągał ręce. Okazało się 666 ochotników; między niemi 400 (w każdym razie większość) rosjan, 200 niemców

---

*) Jestto sparodjowana mowa, wypowiedziana przez cara Aleksandra II. do zgromadzonych wiernych, w kwietniu 1879 r. zaraz po chybionym zamachu na jego życie przez Sołowiowa. Przejęty śmiertelnym lękiem o osobiste swoje bezpieczeństwo, Aleksander II. w ówczesnej swej mowie, pomijając stan wojskowy i urzędniczy, zaszczycił szczególniejszem uznaniem wszystkich zbirów policyjnych i stróżów domów, powierzając wyłącznie ich opiece bezpieczeństwo swojej osoby. (Przyp. tłóm.)

*) Pietrie był głównym naczelnikiem policji tajnej francuskiej za czasów Napoleona III. (Przyp. tłóm.).

z rosyjskiemi duszami i 66 cudzoziemców. Tych ostatnich generał bezzwłocznie wykreślił z ogólnej listy. Zaledwie jednak zdołał wydać odpowiednie rozporządzenie, gdy ci okazali krnąbrność, właściwą łatwo zapalającej się narodowości.

— My także rosjanie! zawołali porywczo.

— My także mamy rosyjskie dusze!

— Lecz wy katolicy, łaskawi panowie! przekonywał generał, a tego ja w każdym razie nie mogę ścierpieć!

— Jacy my tam katolicy — wszakże nie chodzimy nawet do kościoła.

— A! jeźli tak — to rzecz inna! lecz uprzedzam, że źle wyjdzie, kto skłamał...

I rozkazał przywrócić im prawa, a zwracając się do nas, oznajmił:

— No, teraz z Bogiem, panowie!

Wypowiedziawszy te słowa prezes towarzystwa: „Lękliwe próby lojalności“, udał się do swego gabinetu, pozostawiając nas wszystkich oczarowanych swoją osobą.

— Anioł! — mówili jedni:

— Jaka głęboka znajomość ludzkiego serca! odzywali się drudzy.

Ja sam uczułem się w stanie takiego uniesienia, że spotkawszy przy wejściu do traktjerni Pałkina, krótko ostrzyżoną nihilistkę, idącą szybko ku Newskiemu prospektowi w bucikach na korkach i z książkami pod pachą, nie mogłem opanować wzburzenia i zawołałem:

— Ciszej! Łłajdaczko!

* * *

Dlaczego tak się do niej odezwałem, tego do obecnej chwili nie mogę sobie wytłumaczyć: pokazało się jednak, że trafiłem w sedno, gdyż zbladła niegodziwa, jak płótno i wzięła fiakra, unikając spotkania się z narodową Nemezidą... Jest jakiś instynkt, który w ważnych chwilach życia podpowiada człowiekowi co ma czynić, wyznać też muszę, że bierne poddanie się głosowi instynktu nigdy mi na złe nie wyszło. Oto np. podczas mojej misji cywilizacyjnej na Zachodzie, nie wchodziłem nigdy inaczej do domu pana polskiego, jak tylko z krzykiem: „ano! wy tacy — siacy, krzy, przy, wszy“, odpowiadajcie: Czy jeszcze liczycie na to, że nadzieja z wami?

Wiedziałem bardzo dobrze, że nie spotkam się tam z niczem dowcipnem. „Nadiożda“, nadzieja, „śliwki“, śmietanka, „do świdania“, do widzenia; rozumie się, są to słowa zwykłe, lecz dziwna rzecz, my, cywilizatorowie, nie mogliśmy ich znosić; zdawało się nam, że nie można chyba nie bić ludzi, którzy wymawiają te słowa.

Tak samo miała się rzecz obecnie.

Zdaje się, że nie powiedziałem nic takiego, a pokazało się, że powiedziałem bardzo wiele. Na nieszczęście byłem głodny i nie miałem czasu na śledzenie niegodziwej. Czułem się jednak prawdziwie zadowolony, że naraziłem ją na wydatek dwudziestu pięciu kopiejek.

U Pałkina*) powtórzyło się takie samo przyjęcie, jak w sali generalskiej, a że na wstępie dano nam wszystkim po trochu grosiwa, spieszyliśmy tedy wynagrodzić sobie minione dni przymusowej wstrzemięźliwości. Ku ździwieniu, nikt z nas nie zażądał nic gorącego, lecz wszyscy, jakoś niedorzecznie, przetrącali po wódce solone i wędzone zakąski. Był tu także i ów cudzoziemiec**) trzyarszynowego wzrostu, lecz nie pił wcale gorzałki, a tylko wychlapał cały dzban kapuśniaku i zżarł ćwierć źrebięciny. Po pochłonięciu ostatniego kęsa, ociężał jakoś i przez dość długi przeciąg czasu, nie mógł mrugać oczyma. Wielu skorzystało z tego, pokazując mu świńskie ucho.

Wszędzie prowadzono żywe rozmowy.

— Należy się spodziewać, że wypadnie nam działać po nocach — domyślali się jedni.

— Nie inaczej! Wśród dnia nie wytropisz »go«,***) nawet przy pomocy psów, a nocą — dziń — dziń! *Koman wu porte wu? Wie viel haben zu gewesen?* Natychmiast go kanalję za czupryne do urzędu gminnego — nie raczysz się pan przespacerować? A nie upieraj się łaskawco! Nie ma się czego indyczyć.

— A jeżeli już będzie w sypialni? spytał ten sam niemiec, który powątpiewał...

— A jeżeli już będzie w sypialni? podchwycił drugi z uczestników; to cóż z tego, że w sypialni? Tem lepiej dla ciebie, niemcze — wtedy idź tam wprost i szturmuj do drzwi! Może spotkasz jak raz jaką ładniutką nihilistkę.

Niemczysko poczerwieniał.

— Co? rumienisz się? Ach, niemcze! niemcze! serce moje przeczuwa, że z ciebie nie będzie pociechy. Zrozumiej, że tam każda minuta, warta miljon trzysta tysięcy czerwonych złotych, a ty łamiesz sobie głowę nad tem, czy on w sypialni.

— O nie! ja nic! bardzo mi przyjemnie!...

— To też! ja „nic“. Idź naprzód, a nie myśl o wypoczynku...

— Do takiej sprawy trzeba się brać bardzo rozumnie, rozprawiali w innem miejscu; bo inaczej można się samemu złapać.

— To być nie może!

— Co pan mówisz: „być nie może!« Ja sam tego doświadczyłem na własnej mojej osobie, jakto „być nie może“... Widzisz pan, to już hańba? Oto dopiero!... No? Sądzisz pan, że to miejscowe! nie, mój panie, to...

— Podług mego zdania należy najpierw zawołać stróża domu, a gdy ten stchórzy, zażądać, aby pokazał drogę... Jeśli w ten sposób dowiemy się o właściwem legowisku, to pochwycenie »go«

*) Restauracja Pałkina cieszy się reputacją „najszykowniejszej“ jadłodajni w Petersburgu.

**) Widocznie mowa tu o Loris Mielikowie, owym suchym maluczkim człowieku, któremu autor rozmyślnie nadaje tak wielkie rozmiary. (Przyp. tłóm.).

***) „On“, „ona“, itp. oznacza nihilistów. (Przyp. tłóm.).

nie natrafi na żadne przeszkody... Trzeba tylko, rozumiesz pan, obcesawo, z hałasem, trzaskiem, ażeby wywrzeć wrażenie...

— A jeżeli usłyszawszy hałas, „tamten“ ucieknie?

— Dokąd ucieknie? pod stół się schowa? lub też zapełznie w szczelinę? wtedy wyciągniemy go stamtąd za włosy, łaskawy panie, za włosy...

— A jeśli „on“ nagle odbierze sobie życie?

— Te-te-te, to już nie włosaty! on odbierze sobie życie? Widocznie, pan ich nie znasz! To tylko człowiek szlachetny... taki, to rozumie się, dla człowieka szlachetnego co znaczy życie? tfu!... A wam się zdaje, że włosaty...

Jednem słowem wszyscy wrzeszczeli, wszyscy oburzali się! Jeden tylko cudzoziemiec był zajęty wyłącznie trawieniem spożytego jadła. Wkrótce jednak i on odzyskał władze łypania oczami i poruszania głową. Wtedy zwrócił się całym korpusem ku Newskiemu prospektowi i zoczywszy na ulicy jakiegoś pieska, otworzył okno, wyjął z kieszeni mały kamyk i ugodził nim biedne zwierzę. Dało się słyszeć skomlenie, a na jego usta wystąpił uśmiech!... Wtedy dopiero zrozumieliśmy jaką rolę miał odegrać ten człowiek w oczekujących nas wyprawach... Wszyscy zamilkli na chwilę.

Wsłuchiwałem się w te rozmowy i żółć coraz więcej i więcej rozlewała się we mnie. Nie wiem, czy czytelnik doświadczał kiedy owego dziwnego, drażniącego uczucia, gdy w człowieku powstaje pierwszy zalążek, ledwie dostrzegalny i nagle punkcik ów zaczyna przyjmować coraz większe i większe rozmiary, a nakoniec ogarnia wszystkie jego władze umysłowe, prześladuje go wciąż, nie dając chwili wypoczynku. Raz już pobudzona żądza, podżega wciąż samą siebie i nieprędzej uczuje się zaspokojoną, aż wyczerpie całą swą treść.

Co do mnie, to niejednokrotnie doświadczałem tego uczucia. Otoczenie, narady, oczekiwanie spodziewanych zwycięstw — wszystko to oddziaływa w sposób upajający. Im więcej przysłuchiwałem się, tem więcej napinały się moje władze duchowe, tem większą pałałem nienawiścią. Noc, pogrążony we śnie nihilista, wystraszony stróż domu, brzęczenie szabli o chodniki i ciemne schody, *remue ménage* w papierach i pismach — taki początek! Potem, krótkie świtanie porannej zorzy, powolne przejście do pełnego dnia, dreszcz w powietrzu, przepełnionem orzeźwiającym chłodem nocy, kielich gorzałki w najbliższej traktjerni, łoskot, śmiech, zdumienie rannych przechodniów... stój! słu-szaj! Kogoż obraz podobny, (rysujący się w przyszłości) nie jest w stanie odurzyć?

W takim to stanie napięcia nerwowego wyszedłem z traktjerni Pałkina i miałem się już skierować do mieszkania, gdy nagle zoczyłem, idącego na moje spotkanie towarzysza szkolnego. Rozumie się, rzuciliśmy się sobie wzajemnie w objęcia; zwierzenia, wspomnienia, zapytania... Krótko trwała uciecha, gdyż w szkole byliśmy z sobą w wielkiej przyjaźni, a potem straciliśmy się obadwaj z oczu, a więc ani on o mnie, ani też ja o nim nie mieliśmy zupełnie żadnej wiadomości... I oto naraz po kilku minutach serdecznej rozmowy, kolega szkolny rzekł do mnie:

— Ach, jakie czasy, mój przyjacielu! Jakie straszne czasy!

Spojrzałem na niego instyktownie, on pochwycił moje spojrzenie i odrazu wszystko zrozumiał.

— To jest, rozumiesz, zauważył jakoś dziwnie śmiejąc mi się w oczy: nie w tem znaczeniu straszne... jednakowoż, bądź zdrów! Muszę spieszyć w ważnym interesie.

I odszedł, przyspieszając stopniowo kroku. Przez kilka minut stałem nieruchomy jak posąg, przygryzając bezwiednie wąsy. Gdyby w tej chwili rozwarła się przedemną przepaść, rzuciłbym się w nią niezawodnie!...

Łłajdak!

* * *

Pardon! Wszak i ja także byłem kiedyś... liberałem.

Nie dziw się czytelniku i nie patrz na mnie z niedowierzaniem: tak, był czas, kiedyś ty, całą swą istotą, wszystkiemi siłami twej duszy, należał do mnie. Byłem nietylko liberałem, lecz znajdowałem się w ścisłych stosunkach z wybitnemi i bardzo poważanemi osobistościami, niestety, obecnie już nie żyjącemi. Tworzyliśmy wtedy jedną, ścisłą, przyjacielską rodzinę; wszyscy mieliśmy jedną i tę samą dewizę: „dobro, piękno, prawda“.

I nietylko rozmawialiśmy z zapałem, lecz i czuliśmy gorąco. Walka romantyzmu z klasycyzmem, ruch filozoficzny, rozbudzony przez Hegla, Gogola i George-Sanda, wszystko to, porywało nas i porywało szczerze. Byliśmy wyznawcami dążeń 48 r. lecz rozumie się nie podzielaliśmy zasad tych dążeń, a tylko hasłem naszem była wspaniałomyślność i humanitarność... *Alea jacta est. „La grandeur d'âme est à l'ordre du jour“* — wołaliśmy w owych czasach głośno za Lamartinem. D. c. n.

Ruiny Tenczynka*).

Od głównej bramy wjazdowej, nad którą widnieje „Topór“ herb Narwoja z Przegini, wojewody sandomierskiego, i założyciela zamku, prowadzi kręta, zawalona kamieniami ścieżka, między basztami i resztkami nawpół rozwalonych murów, na miejsce obszerne, obwiedzione murem. To dziedziniec zamkowy. Na środku jest jeszcze

*) Pięć mil od Krakowa na zachód.

miejsce okrągłe, głębokie, zarosłe trawą i zielskiem, gdzie była studnia, a od niej w niewielkiej odległości, prowadzą jakieś długie, ciemne kryjówki i korytarze, w których panuje cisza, tajemnicza, ponura, przerywana od czasu do czasu jednostajnem padaniem kropel wody, lub szelestem skrzydeł spłoszonego nietoperza. A ze szczytu murów, na których ząb czasu wyraźnie zostawił ślady, pochylają się karłowate drzewka jałowca, świerku i kaliny, mieszkańców tych ruin. Nie mamy poco zatrzymywać się dłużej na dziedzińcu, bo tu nic ciekawego, nic godnego widzenia; przejdźmy go wzdłuż i skierowawszy się w prawo, znajdźmy dwa wschody. Jesteśmy w kaplicy. Dziś z niej gruzy. Ale na ścianie zachowały się jeszcze ślady gdzie ołtarz przypierał, zachowały się niektóre ozdoby, których dawniej w żadnym zakątku, na żadnym murze nie brakło, świadcząc, że to miejsce nie ludziom było poświęcone, a wysoko w murze jaśnieje wielki, okrągły na szkle malowany obraz Chrystusa, wprawiony przed pięciu laty, kosztem i staraniem Stanisława Kluczyckiego, aby uszanować święty niegdyś przybytek. Znów wychodzimy na dziedziniec i pniemy się po wschodach, naprawianych już kilkakrotnie w naszych czasach, aby zupełnej zapobiedz ruinie. Z pomiędzy cegieł i kamieni wychylają swe główki braciszki polne i dzikie gwoździki, czasem gdzieniegdzie ujrzysz kwiat niezapominajki, w towarzystwie innych kwiatków polnych, wąsatych powojów i mchów zielonych, wyścielających wschody, niby cenny kobierzec haftowany w kwiaty, po którym wchodzisz do górnej sali. I tu pustka, ruina. Stare mury pod lat ciężarem przygarbiły się ku ziemi, okna niegdyś wystawne, zmieniły się w bezkształtne otwory, ściany do kamienia odrapane, a gdzie tylko mur dobrze się zachował, tam znajdziesz mnóstwo podpisów, zwiedzających te ruiny. Nie ma już ozdób wspaniałych, niema dzieł pędzla, które tu dawniej były w wielkiej nagromadzone ilości. Zamiast kosztownych obić na ścianach, pleśń wyrasta i bluszcz się zawiesza zielony, w miejsce kobierców, trawa się kołysze. Jeszcze sterczy pogruchotana od góry kulami Königsmarka baszta, (1655) jeszcze oglądać można więzienie, dokąd wrzucono schwytanych w bitwie pod Grunwaldem Krzyżaków, jeszcze zachowała się mała salka nad kaplicą, ale do niej nawet dostać się nie można, bo podłoga, czy raczej sklepienie kaplicy opadło już prawie zupełnie. Zamek to był wspaniały, rozległy, o czem świadczą ciągnące się za kaplicą, w różnych kierunkach mury, dziś prawie już z ziemią zrównane.

Ale choć rozpadł się w gruzy, jeszcze nie stracił zupełnie dawnej dumy, jeszcze dziś ten olbrzym wzbudza podziw u okolicznych mieszkańców. Rozsiadł się na wyniosłej górze, a przed nim i za nim szumią poważnie jedlinowe bory, i skromnie pochylają swe ciemno zielone korony. Z którego okna spojrzysz na świat boży, piękny się przed tobą roztacza krajobraz. Tam ggzieś w oddali widać małą, palami podpartą chatkę, dalej zielenią się pola, łąki, wzgórza, widać wioskę jedną za drugą, daleko, daleko... A zamczysko stare wznosi się nad niemi, i z lekceważeniem patrzy na góry i lasy, na gromadne i samotnie rozsiane chatki, jakgdyby chciał spytać: „I któż jest wyższy nademnie? Ale gdy oko spoczywa na tych starych murach, myśl mimowolnie w przeszłość się cofa, i sami pytamy się siebie: »Czy tu tak zawsze było pusto, zawsze tak smutno, tak cicho? O nie! ileż razy te sale odbrzmiewały wesołemi głosy, ile razy te okna błyszczały rzęsistem światłem, ile razy z tych wież i baszt huczały działa, grały trąby. Wśród tych murów zakończył życie Jan Tenczyński, ten, któremu Jadwiga dała zlecenie dźwignięcia Akademji krakowskiej, o nie odbijały się toasty na cześć Jędrzeja, który miał zasiąść na tronie po śmierci ostatniego z Jagiellonów, tu Zbigniew bolał nad zgonem Mikołaja, wojewody ruskiego, tu Jan Tenczyński płakał nad śmiercią swoich synów i smucił się, że z nimi ród Tenczyńskich wyginie, tu szukamy cieniów Beaty Tenczyńskiej i Zofii Daniłowiczównej i nadstawiamy uszu, czy nas nie dolecą jęki więźniów z bitwy pod Grünwaldem. Cisza — nic nie słychać! Te mury przetrwały wszystkich — czas przeminął, pomarli ludzie. Przetrwały, ale i one z dniem każdym chylą się ku ziemi, bo ciężar sześciu*) prawie wieków na swoich dźwigają barkach. To nasze pamiątki. Człowiek lubi patrzeć na nie, lubi w myśli dawne wskrzeszać chwile i zmarłe ożywiać postaci, lubi te wrażenia, jakie się rodzą w jego duszy na widok tych gruzów, świadczących, jak wszystko na świecie znikome.

Romuald Jamiński.

CZEMU?

Czemu ten wicher tak łka
I płacze?
Może żałuje promieni,
Blasków żałuje słonecznych;
A może z posad odwiecznych
Wyrywa szepty boleści
I duchy pędzi tułacze
Do smutnych grobów, do cieni;
Może to w skardze szeleści
Tęsknoty łza?
A może żałuje starganych nadziei,
A może nad ludzką niedolą się żali,
A może tak tylko, szydersko, w zawiei
I świszczy i dmucha i szybko mknie dalej...

Al. Dąbrowski.

---

*) Zbudowany w r. 1319.